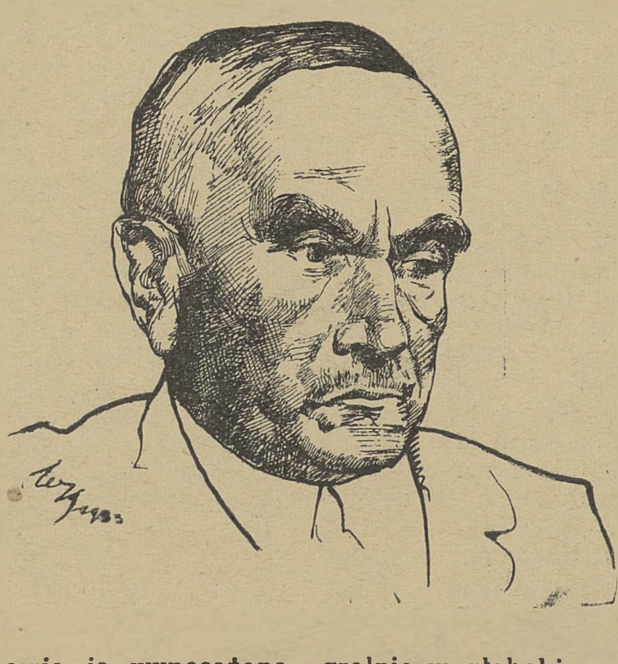
MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 2 WARSZAWA 8 STYCZNIA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

ROMAN DMOWSKI UMARŁ

NIEZMIERNIE ciężko jest ludziom bliskim zabierać głos nad trumną. W tym zwłaszcza wypadku brak śmiałości, by mówić o bólu osobistym, a jakże trudno objąć objektywnie stratę, jaką poniósł naród! Ulgę daje poczucie, że mówi się do bliskich, których wieść o śmierci Romana Dmowskiego do głębi rozżaliła; jesteśmy w kole czytelników „Myśli Narodowej" wszyscy zrównani w odczuciu tej straty.



Historia wiele już powiedziała o Dmowskim, a więcej, wiele więcej i goręcej mówić będzie, gdy rzeczy minione z oddali dadzą się widzieć we właściwych wymiarach.

Zmarł, mając za sobą pięćdziesiąt lat pracy twórczej. Zastał Polskę w upadku, zostawia ją wyposażoną w wolność i w możność stanowienia dalej o swoich losach. W ramach tego 50-lecia zarysować sobie trzeba w wyobraźni tę wielką indywidualność, aby zrozumieć, ile dziejów na swych barkach dźwignęła.

Nie był to przecież gracz polityczny, któremuby w ręce wpadły gotowe karty do gry o karierę i doraźne rezultaty. Dmowski był twórcą narodowym, to znaczy robiącym politykę wespół z narodem, jako podmiotem dziejów.

Dmowski musiał być przede wszystkiem wychowawcą narodu, zdobyć duchowe nad nim panowanie i uzdatnić go do myślenia politycznego, zanim się poczuł w możności działania w jego imieniu.

Życie Dmowskiego rozważać trzeba w tych dwu polach działania, jako wychowawcy i działacza, jako publicysty i męża stanu; oceniać zaś go trzeba jako wielką wartość indywidualności moralnej, która te dwa pola w sobie zespalała integralnie w głębokiem poczuciu misyjności historycznej. Dzieje polityczne Polski nie wykażą się drugim takim mężem stanu, któryby tak zagubił swoją osobowość — całe swoje życie osobiste — w objektywnie widzianym celu dobra narodu. W tej moralnej

podstawie indywidualności Dmowskiego miała swe źródło jego siła twórcza.

Tak żyje i umiera człowiek misyjny, powołany do swej roli przez Opatrzność, która stworzyła narody i odżywia ich świadomość dziejową ofiarą wielkich jednostek.

Dopełniło się w Dmowskim półwiecze, ale jakże ważne w dziejach. Potrzebne było, aby Polska wyrównała drogę tak tragicznie załamaną przez rozbiory, aby z gruzów odbudowała się zjednoczona w swej osobowości historycznej.

Wypadki mogły się do tego przyczynić, ale to dzieło odrodzenia wewnętrznego narodu i ustawienia Polski w szrankach światowych wydarzeń— bez Dmowskiego nie byłoby dokonane.

Wyszczególnianie etapów, któremi postępowała twórcza praca Dmowskiego, połączona zawsze z walką, będzie zadaniem życiorysu, którego początek niżej podajemy. Nie tylko my, którzyśmy z nim pracowali, cały ogół polski, jak to z radością stwierdzamy według głosów prasy, uświadamia sobie dobrze, jak wielkim darem Opatrzności dla narodu genialny twórca „myśli nowoczesnego Polaka" i całego systemu polityki polskiej.

Od kilkunastu lat nie było dla Dmowskiego miejsca w sferze decydującej o biegu spraw państwowych. Niesłusznie jednak uważano to za dramat jego osobisty. Pozostawał zawsze władcą dusz w narodzie, utrzymując z nim stałą łączność jako pisarz polityczny, nie mający sobie równego w dziełach literatury polskiej. To co mu się mogło zdarzyć osobiście, uważał za drobny epizod w nieprzerwanem przez wieki życiu historycznem narodu.

Dla siebie nie pragnął niczego. Nagradzało go własne sumienie spokojem i radością, że spełnił wszystko co mógł według najwyższego wymiaru odpowiedzialności moralnej.

DZIEJE ŻYCIA DMOWSKIEGO

DZIECIŃSTWO NA PRADZE

Roman Dmowski urodził się 9 sierpnia 1864 roku. Był w domu piątem dzieckiem, wychowywał się w biednej rodzinie w warunkach życia podmiejskiego, jak wiemy — na Pradze, gdzieś między miastem a wsią, nad Wisłą. To bodaj jeszcze była najlepsza strona: owa sielskość i rzeźkość powietrza. Bo był dzieckiem bardzo wątłem — w pierwszych latach życia miał tak wątłe mięśnie szyi, że głowa opadała mu na piersi. Wyrastał jednak z tego dzięki zdrowym warunkom życia na powietrzu. Boć to była plaża piaszczysta i ciągła kąpiel.

CZASY SZKOLNE

Mając cztery lata, sam nauczył się sztuki czytania i odrazu okazywał skłonność do przesiadywania z książką. Ojciec, bojąc się o jego zdrowie, zamknął przed nim, gdy miał lat siedem, książki na cały rok. Miało to dobry skutek dla zdrowia, ale chłopiec się rozbisurmanił i stał się nadwiślańskim wagabundą.—W dziewiątym roku życia zapisano go do szkółki miejskiej, która się mieściła na rogu ulicy Bednarskiej i Dobrej. A gdy miał lat 11, przyjęto go do trzeciego gimnazjum w Warszawie na rogu Krakowskiego Przedmieścia i obecnej ulicy Traugutta (dawniej Hr. Berga). Chodził tam piechotą trzy i pół kilometra drogi.

Uczył się źle i sprawował się nieszczególnie. W klasach drugiej, trzeciej i czwartej siedział po dwa lata. Rodziców nie stać było na korepetytora, bez którego wówczas trudno było robić postępy, głównie z tego względu, że wykłady odbywały się po rosyjsku, co chłopców zrażało do nauki. Przytem mały Romek lubił bujać nad Wisłą, lub dużo czytać, ale nie to, co potrzebne było dla szkoły. Pomimo to już w drugiej klasie podjął się dla zarobku korepetycji.

Choć nauczyciele byli przeważnie Polacy — tylko rosyjski, historia i geografia nie mogły być powierzone Polakowi — to jednak w szkole panował język rosyjski. A trzeba pamiętać, że były to początki okresu apuchtinowskiego. Chłopiec awansował powoli, miał lat 11, kiedy przeszedł do klasy drugiej, szesnaście — kiedy szedł do czwartej, 18 w V-ej. Doradzano nawet ojcu, aby syna odebrał ze szkoły, ojciec jednak w każdym wypadku jasne mając decyzje, odpowiadał, że chłopiec chodzić będzie dotąd do szkoły, dopóki sam nie powie, że chodzić nie chce. Ojciec pomimo wszystko wierzył w jego zdolności, miał widocznie jakieś na to dane. Kiedy razu pewnego żartowano sobie z Romka, jako, że jest osłem szkolnym, ojciec powiedział: — Dajcie mu spokój. On jeszcze niejedno zrobi dla Polski.

Przyszła jednak chwila, że sam Roman (miał wtedy lat 18) powziął postanowienie, że za wszelką cenę gimnazjum ukończy. Zaczął tedy pracować zawzięcie, a było to niełatwe, ponieważ trzy do czterech godzin dziennie zabierały mu lekcje dawane dla zarobku.

Zdrowie zaczęło szwankować. W dwudziestym pierwszym roku dały się mu odczuć niedomagania płuc. W ciągu trzech lat nie opuszczał go stan podgorączkowy.

W szkole najgorzej stał z matematyki, z której jednak najlepiej zdał na maturze, jak powiada — tylko dlatego, że matematyki się bał. Wyróżniał się w łacinie, przy czytaniu autorów udawało mu się nieraz poprawiać nauczyciela. Celował również w wypracowaniach polskich. Młody wówczas nauczyciel, Hieronim Łopaciński, który uczył Dmowskiego w klasie szóstej literatury i języka polskiego, wypracowaniami polskiemi Dmowskiego się zachwycał.

Kiedy był w klasie piątej — zacznie się tutaj droga jego działalności społecznej — założył wespół z kolegą, Władysławem Korotyńskim, synem Wincentego, żyjącego jeszcze wówczas pisa-

rza, tajne kółko uczniowskie pod nazwą „Strażnica". Programem kółka było dokształcanie się w kierunkach, zaniedbanych w szkole, a więc w nauce języka polskiego, historii polskiej, literatury i geografii polskiej, a nawet w naukach przyrodniczych. Kółko doszło do wcale pokaźnej biblioteki, złożonej przeważnie z książek zakazanych.

„Strażnica" gorzała żądzą wiedzy. Było to w duchu epoki pozytywistycznej. Dmowski tornister wypchany miał książkami naukowemi, które rozdawał kolegom. Na posiedzeniach odczytywano wypracowania i dyktando. Rzecz charakterystyczna, że Dmowski zwalczał wszelkie usiłowania wprowadzenia do „Strażnicy" polityki, a były to już czasy rozwiniętej silnie agitacji socjalistycznej między młodzieżą, więc żydki próbowały się dostać do „Strażnicy" — ale nadaremnie.

Dmowski ukończył gimnazjum w r. 1886.

W UNIWERSYTECIE

Wszystkie skłonności pchały maturzystę do studiów w kierunku humanistycznym. Dmowski jednak wstąpił na uniwersytet warszawski na wydział nauk przyrodniczych, wychodząc z założenia, że bez nich nie sposób stanąć na współczesnym poziomie wiedzy. Do tych nauk nabrał zamiłowania, a nawet zamierzał oddać się im całkowicie. Jako specjalność przeznaczał sobie biologię. Pracował nad nią z zapałem pod kierunkiem prof. Augusta Wrześniowskiego, a gdy Wrześniowskiego Apuchtin z uniwersytetu usunął, przeniósł się z tą pracę za swoim profesorem do pracowni Towarzystwa Lekarskiego. Przy kończeniu studiów przedstawił swą pracę naukową (O wymoczkach) fakultetowi i otrzymał stopień kandydata nauk przyrodniczych. Praca ta była drukowana w „Pamiętniku fizjograficznym" za rok 1891. [1]) Dmowski otrzymał dyplom uniwersytecki w r. 1890.

Lata uniwersyteckie były dla niego okresem ciężkiej i poważnej pracy. Wiele pracował naukowo, wybiegając daleko poza zakres wykładów, uczył się obcych języków i wiele czytał z zakresu wiedzy ogólnej, a w dodatku dla zarobku kilka godzin dziennie pracował jako korepetytor.

POCZĄTKI PRACY POLITYCZNEJ

W uniwersytecie też zaczęła się jego praca polityczna. Dmowski stanął na czele tajnej organizacji młodzieży pod nazwą Związek Młodzieży Polskiej („Zet"), co też zabierało mu sporo czasu. Wśród młodzieży znany był już dobrze ze swego mocnego stanowiska narodowego. Była to reprezentacja tak wyraźna, że z chwilą, kiedy objął kierownictwo „Zetu", wystąpiło z organizacji 11-u socjalistów. Kiedy był na ostatnim kursie, osobistym wyłącznie wysiłkiem opanował na uniwersytecie rozruchy, wszczęte przez socjalistów w celu zaznaczenia solidarności ze studentami uniwersytetu moskiewskiego, którzy się wówczas zbuntowali. Było to w marcu 1890 roku. Wysiłek ten wiele go kosztował, bo właśnie wtedy zapadł na ciężką grypę, a nie mógł się położyć do łóżka, zmuszony całe dni przebywać na zebraniach przy stałej gorączce dochodzącej do 40°. Miało to ten skutek, że na dwa tygodnie stracił pamięć, a do egzaminów było już niedaleko.

W owym czasie Dmowski zetknął się z kierownikami „Głosu": Janem Popławskim i Aleksandrem Więckowskim. Więckowski, wybitny socjalrewolucjonista rosyjski, niezwykle wykształcony i utalentowany umysł, osiadł był w tym czasie w Warszawie, a ponieważ był gorącym patriotą polskim i dobrym publicystą, żywo zainteresował się „Głosem", gdzie pracował Jan Popławski, znany mu z czasów zesłania na Syberii. Dmowski, po bliższem przyjrzeniu się, nie znalazł w sobie do Więckowskiego zaufania, natomiast zaprzyjaźnił się bardzo serdecznie z Popławskim. Miało to ten skutek, że Popławski oddalał się coraz bardziej od Więckowskiego i wiązał się w działalności z Dmowskim.

Po ukończeniu studiów uniwersyteckich znalazł się Dmowski w dość trudnem położeniu, mianowicie nie wiedział dobrze, co ma zrobić dla swojej kariery życiowej. Nie mógł się zdecydować na porzucenie studiów przyrodniczych, do publicystyki nie miał zapału. W robotach tajnej organizacji ugrzązł tak głęboko, że one prawie cały czas mu zajmowały. Gdyby nie dorywcza pomoc materialna ze strony starszego brata Wacława, zostałby prawdopodobnie nauczycielem prywatnym, ażeby z czegoś żyć.

DEMONSTRACJA ULICZNA I ARESZTOWANIE

Nadszedł 3 maj 1891 roku. Dmowski, żeby podnieść nastrój Warszawy, obojętnej na zabiegi ugodowe konserwatystów lub poddającej się agitacji socjalistów, postanowił zorganizować obchód w dzień 3-go Maja. Była to pierwsza od czasów powstania manifestacja uliczna Warszawy. Wydawało się narazie, że policja nie dostrzegła jego udziału w manifestacji, jednak było inaczej.

Lato przeszło spokojnie; na jesieni tego roku Dmowski postanowił wyjechać zagranicę, czuł nieodpartą potrzebę poznania Europy, podleczenia się i zadecydowania ostatecznego, co będzie w życiu robił. Rodzi się pytanie, na czem ubogi młodzieniec mógł oprzeć zamiary takiej podróży? Otóż przypomnieć należy tutaj, z ogłoszonych poprzednio danych, tyczących ojca, że Dmowscy byli właścicielami 3-ch morgów gruntu, odziedziczonych po ojcu matczynym. Wartość tej ziemi rosła szybko w cenę spowodu rozrastania się miasta, tak, że ziemia sprzedawana na łokcie zapewniła rodzinie znaczne dochody, umożliwiła nabycie kamieniczki na ulicy Wołowej i ułatwiła Romanowi na szereg lat egzystencję.

Żeby skończyć z warszawską działalnością Dmowskiego w owych latach, zanotować trzeba, że były to lata, w których Dmowski wystąpił na arenę pisarską. Pierwszą pracą drukowaną była nowela młodzieńcza (O uliczniku warszawskim), która już w r. 1890 dostała się do Kuriera Lwowskiego. W Warszawie była niecenzuralna, a Kurier Lwowski należał wówczas do pism ściśle spokrewnionych z Głosem. Pierwszym jego artykułem w Głosie była „Idea w poniewierce" (1890). Podpisał się poraz pierwszy pseudonimem: R. Skrzycki. W r. 1891 znajdujemy w Głosie artykuł Dmowskiego: „Z młodego Parnasu". Była to rzecz o poezjach Franciszka Nowickiego i Andrzeja Niemojewskiego. Potem następuje „Beletrystyka popu-

[1]) Tytuł tej pracy brzmi: „Studia nad wymoczkami. O kilku wymoczkach z rzędu holotricha, spotykanych w nalewkach siana".

larna" i obszerniejsze studium krytyczno-literackie w 4 zeszytach o powieści Sienkiewicza „Bez dogmatu".

Jak sobie zapowiedział w jesieni 1891 roku, wyjechał do Paryża. Pobyt jego w Paryżu trwał 8 miesięcy. Był to czas, spędzony bardzo owocnie na wszechstronnych studiach.

Stąd też nawiązał bliższe stosunki z Zygmuntem Balickim, mieszkającym w Genewie na prawach emigranta. Z Balickim poznał się Dmowski w Warszawie jeszcze jako student, kiedy Balicki jako założyciel „Zetu" bawił potajemnie w Warszawie pod nazwiskiem Żółtowskiego. Balicki wywarł znaczny wpływ na decyzję Dmowskiego co do dalszych planów życia. W drodze powrotnej z Paryża zatrzymał się dłużej w Genewie, tam dojrzała decyzja, że odda się całkowicie pracy politycznej. Tam też opracował z Balickim projekt reorganizacji „Ligi Polskiej", oczyszczenia jej z pierwiastków masońskich i przystosowania do potrzeb polityki krajowej. Z tym poważnym plonem powracał do Warszawy.

Na stacji Granica Dmowski został aresztowany i przewieziony stąd do cytadeli Warszawskiej. Oskarżono go o uczestnictwo w manifestacji majowej 1891 roku. Pobyt jego w cytadeli trwał 5 miesięcy. Dmowski utrzymuje, że okres tego zamknięcia był dla niego prawdziwem dobrodziejstwem, pozwolil mu bowiem skupić się w sobie, wiele przemyśleć i nakreślić jasną drogę życia.

W charakterystyce Dmowskiego ważny jest ten moment, że nigdy ten człowiek nie poddaje swego losu biegowi wypadków. W naturze jego leży potrzeba jasnej świadomości tego, co ma robić i przystosowania okoliczności do swoich planów.

Wypuszczono Dmowskiego z cytadeli za kaucją w pierwszych dniach stycznia 1893 r. Ukończyło się dopiero śledztwo, kazano mu czekać wyroku, zatwierdzonego w Petersburgu. Oczywiście, była to wolność pod ścisłym dozorem policji. Dmowski zabrał się natychmiast do reorganizowania Ligi. Reforma miała właściwie charakter przewrotu. Trzeba było przekonać dotychczasowych członków Ligi Polskiej o potrzebie przeniesienia inicjatywy politycznej z zagranicy do kraju, usunięcia członków, którzy się z tem nie zgadzali, zmiany nazwy na „Ligę Narodową", jednem słowem, usamodzielnienia w tych sprawach Warszawy. Dokonali tego przewrotu, wprowadzeni do Ligi przez Dmowskiego, młodzi członkowie organizacji „Zetu", przez usunięcie władz dawnych. Była to ważna data w rozwoju prac politycznych ruchu narodowego.

ZESŁANIE I WYJAZD ZA KORDON

W listopadzie 1893 r. zapadł wyrok, na mocy którego (*po wysoczajszemu powieleniu*) skazano Dmowskiego na wydalenie z kraju w głąb Rosji na przeciąg 3-ch lat, bez prawa przebywania w granicach Polski z r. 1772 oraz w miastach stołecznych i uniwersyteckich.

Dmowski wybrał dla siebie Mitawę. Przebywał tam do lutego 1895 r., kiedy wyemigrował do Lwowa. Nie czekał wyznaczonego mu terminu zesłania, wziął bowiem pod uwagę szereg przykładów, że władze rosyjskie przedłużały banicję dowolnie; obawiał się, że niepotrzebnie ryzykować będzie najlepsze lata życia, skazując się na bezczynność. Ponieważ nic nie przedsiębrał bez planu, więc wypracował w Mitawie projekt czasopisma, któreby służyło organizacji narodowej we wszystkich trzech zaborach. Musiałoby ono być wydawane w Galicji. Przedstawił ten projekt władzom Ligi Narodowej i ofiarował się wyjechać do Galicji, aby to pismo założyć. Liga ten projekt przyjęła. Udało mu się szczęśliwie wyemigrować.

Ruch umysłowy wszczęty przez „Głos" przed kilku laty dojrzał już w umysłach tych kilku twórców: Popławskiego, Dmowskiego i Balickiego do tego stanu, że stało się nieodpartą potrzebą propagowanie rodzącej się idei nacjonalistycznej za pomocą jakiegoś organu wydawanego na 3 dzielnice. W idei tej tkwiły już od początku nierozdzielnie dwa hasła: niepodległości i zjednoczenia, jako tej niepodległości warunku. Organu takiego w kraju dotąd nie było. Żeby ideę tę zrealizować, Dmowski udał się w lutym 1895 r. do Lwowa.

Z. W.

(D. c. n.).

DMOWSKI NA KONFERENCJI POKOJOWEJ

WEDŁUG E. J. DILLONA

W KSIĄŻCE słynnego angielskiego publicysty E. J. Dillona p. t. „Konferencja pokojowa w Paryżu 1919", wydanej w przekładzie polskim (Warszawa, 1921), na str. 52 — 54 znajdujemy następującą opinię o Dmowskim:

„Naogół największem powodzeniem w bronieniu spraw cieszyli się prawnicy, chociaż jeden z delegatów mniejszych krajów, który zrobił największe wrażenie na przedstawicielach mocarstw większych, nie należał do palestry. Kierownik delegacji polskiej, Roman Dmowski, obrazowy, przekonywujący mówca, zwięzły polemista i pomysłowy obrońca, któremu nigdy nie brakło słów, porównania, argumentu *ad hominem* lub szybkiej i ciętej odpowiedzi, zjednał sobie arbitrów, pomimo, że z początku zaliczali się do jego przeciwników — fakt znamienny, jeśli zważymy, że działo się to w zgromadzeniu, gdzie potężne wpływy sprzeciwiały się niektórym żądaniom zmartwychwstającej Polski. Wrześniowa mowa Dmowskiego o przyszłości Galicji Wschodniej była prawdziwem arcydziełem.

Na Konferencji wystąpił w warunkach niekorzystnych, wywołanych niechęcią najpotężniejszej zbiorowości międzynarodowej naszych czasów: wystąpili przeciwko niemu żydzi całego świata. Jego przyjaciele Polacy tłumaczą ten wrogi stosunek w sposób następujący: Gorące uczucia narodowe zniewalały Dmowskiego powstać przeciwko każde-

mu ruchowi, który przeszkadzał rozwojowi kraju w kierunku narodowym, boć przedewszystkiem jest on Polakiem i patriotą; ponieważ zaś ludność żydowska w Polsce, nie wierząc w jej odbudowanie, oddawna zawarła serdeczne porozumienia z państwami, które ją podbiły, utalentowany autor książki o „podstawach narodowości", która doczekała się czterech wydań, był przez żywioły żydowskie uważany za nieprzejednanego wroga, gdy istotnie był tylko kierownikiem ruchu, uważanego za konieczność historyczną. Jednym z nieuniknionych warunków tej pracy było pielęgnowanie w Polsce uczuć antysemickich, jako jedynej przeciwwagi truciźnie teutońskiej, sączonej z Berlina drogami ekonomicznemi i innemi. A ponieważ żydzi polscy, których język jest zepsutym dialektem niemieckim i których sympatie często są po stronie Niemiec, czuli, że napaść na całość jest napaścią i na część, wyklęli autora i nazwisko jego wśród nich bardzo jest niepopularne. Od tego czasu nie doszło do porozumienia. W Stanach Zjednoczonych, gdzie żydów jest dużo i gdzie posiadają wpływy, Dmowski na każdym kroku spotykał przeszkody i trudności podczas swej podróży; w Paryżu również trafił na silną opozycję jawną i tajną. Roman Dmowski bez względu na to, jaki sąd mogą wydać bezstronni ludzie o jego poglądach i niechęci do Niemców i ich ajentów, cieszy się zasłużenie opinią szczerego i prawego bojownika za sprawę swej ojczyzny, człowieka, który gardzi podziemnemi knowaniami i głosi otwarcie— może zbyt szczerze — zasady, za które walczy. Żydzi polscy, którzy się zjawili w Paryżu, niektórzy z nich najgorętsi jego przeciwnicy, przyznawali, że w rycerski sposób prowadził swe walki wyborcze i inne. Wśród delegatów jego praktyczna znajomość polityki wschodnio-europejskiej wysunęła go na pierwsze miejsce. Zna on świat lepiej, niż wszyscy inni mężowie stanu, gdyż zjeździł całą Europę, Azję i Amerykę. Podjął się i z powodzeniem wypełnił pewną drażliwą misję na dalekim Wschodzie w roku 1905 i przez to oddał cenne usługi własnej ojczyźnie i sprawie cywilizacji.

„Działalność Dmowskiego". stwierdzają dalej jego przyjaciele, „jest spokojna i bezinteresowna." Ambicja, która go podnieca i pobudza, nie ma charakteru osobistego, a jego patriotyzm nie jest drogą, prowadzącą do stanowiska i władzy. Patriotyzm polski stanowi kategorię odmienną od patriotyzmu innych narodów europejskich i Dmowski wciela go w sobie z rzadką wiernością i pełnią. Gdyby wilsonizm został wprowadzony w życie, patriotyzm polski stałby się anachronizmem. Dziś jest on poważnym czynnikiem w polityce europejskiej, zbyt mało rozumianym na Zachodzie. Dmowski żyje dla ojczyzny. Jej interesy pochłaniają wszystkie jego siły. Prawdopodobnie zgodziłby się z historykiem Pawłem Sarpi, który mówił: „Bądźmy przedewszystkiem Wenecjanami, a potem chrześcijanami". Z dwóch szeroko rozbieżnych prądów, na które dziś dzieli się główny tok myśli dążeń politycznych, Dmowski razem z narodowym oddala się od międzynarodowego, popieranego przez Wilsona. Fakt, że często kierownicy bolszewizmu byli żydami — ku oburzeniu większości ich własnych współrodaków, i pomysłowość, z jaką zastawiali swe zdradzieckie sieci w Polsce, nie pozostała bez wpływu na stosunek Dmowskiego do żądania żydów polskich, by im dać uprzywilejowane stanowisko wśród Ligi Narodów. Ale zasadę uprzywilejowania mniejszości— żydowskiej czy pogańskiej — można zwalczać na podstawach nie mających nic wspólnego z rasą i religią. Polski mąż stanu był główną osobą działającą w kilku najbardziej interesujących i charakterystycznych momentach Konferencji i jemu zawdzięcza Polska najważniejsze i najtrwalsze zdobycze, które na niej osiągnęła."

COŚ JAKBY UPADEK IDEALIZMU POLITYCZNEGO

NAOGÓŁ książka składająca się z szeregu artykułów, drukowanych różnemi czasy i w różnych pismach, uważana jest przez recenzenta za zmorę. Tematy przeważnie już są nieaktualne, ogień zapału zagasł a artykuły przechowują tylko myśl ich autora, obcą często myśli czytelnika.

Tego wszystkiego nie można powiedzieć o książce Włodzimierza Bączkowskiego, noszącej tytuł „W obliczu zdarzeń".[1]) Wprawdzie skala rozważań autora obejmuje szeroki wachlarz problemów, ale wszystkie je spina — jak klamra — motyw zasadniczy: zagadnienie naszej granicy wschodniej. Nie można także odmówić Bączkowskiemu śmiałości w stawianiu problemu.

Bączkowski wychodzi z założenia, że warunkiem pomyślnego wyniku naszej walki z zachodnim sąsiadem jest umocnienie się na wschodzie. Założenie, niewątpliwie słuszne, z którem nawet dyskutować nie można. Autor parokrotnie cytuje zdanie O. Górki o tem, że Polska póty stała murem na zachodzie, póki miała należycie ubezpieczoną granicę wschodnią. Dalej Bączkowski wzywa do aktywizmu w polityce wewnętrznej, który ma się wyrazić w rozpoczęciu na wschodzie wielkiej gry, opartej na starorzymskiej zasadzie: „*divide et impera*".

Temat, który porusza Bączkowski, nie jest czemś nowem, z czem się zresztą autor wcale nie kryje. Jest tu coś z planów Hołówki i innych polityków, działających jednocześnie z nim na kresach wschodnich. Bączkowski bije w samo sedno sprawy, gdy mówi, że nie wolno nam zagadnienia rosyjskiego i zagadnienia ukraińskiego podciągać pod jeden mianownik, traktując obie strony w równym stopniu jako wrogów.

I z większą jeszcze słusznością wykazuje, że przeciwstawienie problemu ukraińskiego problemowi rosyjskiemu (a nie ruskiemu, bo tego terminu używa czasem autor) może doprowadzić do pomyślnego rozwiązania kwestii bezpieczeństwa naszej granicy wschodniej. Do tego miejsca wywody Bączkowskiego stoją poza granicą wszelkiej dyskusji.

Bezpieczeństwo naszej granicy wschodniej jest funkcją bezpieczeństwa naszej granicy zachod-

[1]) Włodzimierz Bączkowski „W obliczu wydarzeń", str. 112 wyd. „Myśli Polskiej„, Warszawa 1939.

niej. Wielka prawda -- choć nie całkowita. Aby się przeciwstawić naporowi imperializmu sowieckiego z jednej, a imperializmu rasistowskiego z drugiej strony, nie wystarczy jedynie większa „aktywizacja" M. S. Z'tu! Pewne przekształcenia i przemiany muszą nastąpić w samem społeczeństwie polskiem. Zdaje sobie z tego sprawę i Bączkowski gdy mówi: „Z niewoli tragicznego łańcucha niepowodzeń i faktycznego bezruchu wyzwolić nas potrafi tylko coś, co będzie siłą na miarę rewolucji. Może to być rewolucja nacjonalistyczna albo aktywizm w polityce zewnętrznej..." W późniejszych jednak wywodach nie mówi nic o rewolucji (a właściwie powinien mówić o rewolucji) narodowej a wyłącznie bije na aktywizm polityczny. I tu się zawiera pierwszy błąd tych ciekawych rozumowań.

Aby naród był zdolny do czynu politycznego — cały naród, a nie tylko jakiś poszczególny dygnitarz — musi być narodem wewnętrznie zwartym. Modny dziś termin „zjednoczenie" nie ma ze zwartością nic wspólnego, bo zjednoczenie mieści w sobie pojęcie mechanicznie dokonanego spędu, natomiast zwartość otrzymujemy przez urobienie człowieka i zespolenie go z jakąś ideą. Do zwartości wewnętrznej dążył w Polsce konsekwentnie jedynie obóz narodowy — i to nie jest tylko jakiś frazes polityczny ale jasna ocena dziś już wszystkim unaoczniającego się zjawiska. — Bączkowski tego nie rozumie, rzucając tylko tanie i niczem nie poparte zarzuty: „Endecja walczy w obronie państw rządzonych przez masonów i ideowo spokrewnionych z bolszewizmem" (?) i t. p. Obcy zupełnie moralnemu wychowaniu narodowemu nie tylko, że zapomina o wielkiem dziele wychowawczem Dmowskiego, lecz także kieruje w stronę tego wielkiego Polaka dość śmieszne „zaczepki". Nie doceniając wychowania narodowego, nie może tem bardziej docenić wychowania religijnego. Powiedzenie w stylu: „Kościół, wzorem włoskich popolari, prowadzi samobójczą politykę popierania żywiołów demokratyczno-masońskich", zakrawa na prowokację, zaś stwierdzenie: „w Polsce według wszelkiego prawdopodobieństwa ludność zwiększy się bardzo nieznacznie wskutek braku terenów dla wewnętrznej kolonizacji i zbyt powolnego w Polsce rozwoju gospodarczego" trąci niemiłym materializmem.

Nie będziemy jednak na ten temat dyskutować z Bączkowskim. Wracamy na teren problemu ruskiego a jak Bączkowski woli ukraińskiego. Teza zasadnicza autora książki brzmi: naszem zadaniem jest pomóc wytworzeniu się narodu ukraińskiego i pchnąć jego aspiracje państwowotwórcze na wschód.

Myślę, że autor tej tak ciekawej książki nie liczy się zupełnie z jednem. Wprawdzie masa ukraińska znajdująca się na terenie państwa Polskiego nie przekracza ogółem 20 % ogólnej masy ukraińskiej, ale jest to część najsilniej i najlepiej zorganizowana oraz posiadająca największy odsetek inteligencji. Zgódźmy się, że $1/5$ masy narodowej to bardzo dużo, gdy chodzi o konkretnie podjęty czyn polityczny. Poza tem ta część umiała się na swoim terenie gospodarczo zrzeszyć. Byłoby rzeczą dość śmiałą sądzić, że ludzie ci poświęcą swoje zdobycze ekonomiczne po to, aby cały wysiłek skierować na wschód, do walki z bezwzględnie tępiącą wszelkie ruchy narodowościowe Rosją sowiecką.

Bączkowski, pisząc swoję książkę, miał już przed oczami rozpad Czechosłowacji. Sądzę, że zainteresowała go sytuacja na Rusi Zakarpackiej, gdzie robota niemiecka jest szyta zbyt grubemi nićmi. A jeżeli tak, to prawdopodobnie zgodzi się z tem, że nie można sprawy ruskiej rozpatrywać wyłącznie w polskim i sowieckim aspekcie. Obraz komplikuje właśnie te nieszczęśliwe „piąte koło u wozu" Czechosłowacji — reszta Rusi Zakarpackiej.

Ten kraj pozbawiony niemal możności życia materialnego nie jest jednak pozbawiony znaczenia gdy wchodzi w grę szala wydarzeń politycznych. Właśnie taki przewracający się twór, nie zdolny do stania na własnych nogach, lecz wciąż poszukujący oparcia, stać się może — i stanie się napewno — atutem w ręku silniejszego. Pytanie tylko kto będzie tym silniejszym.

Jeżeli Polska i Węgry zamkną kleszcze wschodnio i centralno-europejskiej polityki, opierając wspólną granicę o linię Karpat, sprawa będzie załatwiona. Niemcy nie będą mogły patronować republice ukraińskiej, skierowanej swym ostrzem gdy trzeba przeciwko Z. S. R. R., gdy zaś trzeba przeciwko... Polsce. Tylko Polska i Węgry mogą stanowić o przyszłych losach narodu ruskiego — nigdy natomiast Niemcy czy Rosja.

Powstanie samodzielnego państwa Ukraińskiego na terenie obecnie objętym granicami Rosji, wydaje się sprawą przesądzoną. Także i to że my powinniśmy temu nowemu państwu pomóc i to nie tylko ze względu na cele „wyższej polityki", ujętej w haśle „*divide et impera*", lecz także ze względu na sprawiedliwość historyczną, której Polska nigdy uie ubliżyła i nie ubliży. Lecz do roboty tej przystąpić będziemy mogli dopiero wówczas, gdy odetniemy ruchy rusińskie od infiltracji niemieckiej i gdy swe plany uzgodnimy z Węgrami. Nigdy wcześniej!

Rojenie dziś „prometejskich" marzeń o kadrach armii rusińskiej formującej się na terenie Polski, dlatego tylko, że jeden czy drugi publicysta ruski zdradził się ze zdrową oceną sytuacji politycznej, byłoby kręceniem sobie bicza na własną skórę.

Schodzimy do samego jądra zagadnienia. Narodom, które się dopiero formują i swój byt sobie uświadamiają, imponuje prężność i zdobywczość. Dziś ruch ruski gra pod batutą Berlina, bo hitleryzm okazał swą przewagę nad maksizmem. Wczoraj słuchał jeszcze ślepo Moskwy. Jeśli ma się wreszcie nas słuchać musimy się okazać silniejsi niż Rosja i Niemcy.

O przewadze fizycznej dziś jeszcze nie ma mowy. Ilością ludności nie przeskoczymy także żadnego z tych krajów. Ale moc narodu nie mierzy się tylko ilością karabinów, czołgów, armat, a nawet ludzi. Natomiast mierzy się stopniem wewnętrznego zwarcia i siłą moralną.

Siłą moralną — właśnie. I dlatego nam wciśniętym między ogromny swą liczebnością blok rosyjski oraz wciąż rosnący, a rosnąc pracy na wschód blok niemiecki, nie wolno nic budować ua tej podstawie. Siła moralna — to moralność katolicka. Zawsze mieć powinniśmy w pamięci słowa St. Szczepanowskiego: „Polska albo będzie katolicka albo jej wcale nie będzie".

JAN_DOBRACZYŃSKI

O NASZ STOSUNEK DO PRZESZŁOŚCI

(Dokończenie). [1])

OTÓŻ i tę prawdę zrozumiano u nas już w epocę romantyzmu, a nikt nie zrozumiał jej lepiej od Mickiewicza. W czwartym kursie Prelekcyj paryskich jest jedna z najgłębszych jego nauk — o „człowieku wiecznym". W owej epoce swojego życia powrócił Mickiewicz (sprzeniewierzając się nauce Lelewela) do swojej dawnej wiary, której wyznanie złożył po raz pierwszy w Konradzie Wallenrodzie, że odpowiedzialność za losy narodu ponosi wielka jednostka, że ona to, nie tłumy, kieruje i powinna kierować losami swego narodu. Taką właśnie jednostkę nazywa Mickiewicz „człowiekiem—słowem" czyli „człowiekiem wiecznym". Dlaczego wiecznym? Dlatego, że taki człowiek nietylko odpowiada za teraźniejszość swego narodu i, co stąd wynika, dźwiga w swym duchu jego przyszłość, ale nadto skupia w sobie całą jego przeszłość, bo inaczej naród za nim nie pójdzie. Ażeby być „człowiekiem wiecznym", mówi Mickiewicz, „trzeba uczuć się członkiem swego Kościoła, synem swego narodu, potomkiem, odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej; trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót, jakich naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych; trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historii było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas jako ziarno siewne, jako żywotność, jako siła"... „oto czem trzeba być, żeby ośmielić się... rzec" swemu narodowi: „za mną"!

Czy to nie głęboka myśl? I czy, przy całym tkwiącym w niej kulcie tradycji narodowej, jest w niej choć odrobina przesadnego konserwatyzmu? Czy raczej, ze stanowiska nowoczesnej nauki o postępie, o ewolucji, nie dźwięczą w nich hasła w całem znaczeniu tego wyrazu postępowe?

„Pomiędzy przeszłością a przyszłością otwiera się próżnia rozpaczliwa. W tej próżni zrodzone pokolenie — między przeszłością a przyszłością niezłączonemi niczem— czemże w rzeczywistości ma pozostać? aniołem, co przelata? upiorem, co przewiewa? zniewieściałem niczem"?...

Te słowa pisał Norwid w Epilogu do Promethidiona, w roku 1851, a więc jeszcze w epoce romantyzmu. I powiedział jeszcze Norwid: „Przez tradycję wyróżniony jest majestat człowieka od zwierząt polnych, a ten, co od sumienia historii się oderwał, dziczeje na wyspie odludnej i powoli w zwierzę zamienia się".

W epoce poromantycznej ta myśl o ścisłym związku pomiędzy przeszłością a teraźniejszością i przyszłością narodu nie zginęła; raczej utrwala się. Zapewne byli w epoce pozytywizmu i do dziś dnia są tacy, którzy nie rozumieją tej oczywistej prawdy przyrodniczej, że przeszłość jest fundamentem budowy przyszłości, którzy nawet poczytują tę prawdę za „przesadny kult tradycji". za „nadmierny konserwatyzm", za „wstecznictwo", za „wstręt do postępu". Ale ludzie rozumni byli i są innego zdania. Oto kilka dowodów.

Największy poeta pozytywizmu, Asnyk, rozumiał, że:

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko,
W dawnej postaci — jednak nie umiera...
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko,
I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej.

Ich miłość, sława istnienie nam krasi,
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

Spasowicza nikt chyba nie nazwał i nie nazwie ani konserwatystą, ani nacjonalistą: a jednak... proszę czytać jego ipsissima verba:

„Dziejowe tradycje narodowe—i umysłowe i moralne— są olbrzymim kapitałem, w przechowaniu którego jest zainteresowany nietylko naród, którego są doświadczeniem te tradycje, ale i cały rodzaj człowieczy. Osoby i narody, które mało mają takich swoich tradycyj, a obcych nie cenią i niemi pomiatają, nazywają się barbarzyńcami. Moc i ciągłość tradycyj dziejowych stanowi o stopniu wyrobienia narodu i o jego trwałości".

Na brak u nas powszechnego zrozumienia „historyczno-przyrodniczego" związku pomiędzy przeszłością a teraźniejszością, skarżył się wielki twórca ideologii narodowo - demokratycznej Jan Ludwik Popławski w tych słowach:

„W społeczeństwie naszem niema prawie wcale tego, co się nazywa kulturą historyczną, niema poczucia łączności między przeszłością narodu a jego życiem współczesnem, niema tembardziej świadomości, że ta łączność jest konieczną. Przeszłość nie jest dla nas całością organiczną, ściśle zespoloną z teraźniejszością i przyszłością narodu, ale jest jakby składem starych, wybranych materjałów, z których dowolnie wybieramy to, co każdemu z nas z różnych względów jest potrzebne. Paradoksem wydaje się nam zdanie Le Bon'a, że na życie i działalność narodu większy wpływ wywiera jego przeszłość, niż dążenia i interesy teraźniejszości, a tem bardziej przewidywania przyszłości. Zanik tradycji i kultury historycznej nie jest objawem tylko naszego życia, ale dla nas ten objaw jest groźniejszy niż dla innych".

A co mówi Roman Dmowski?

„Jestem Polakiem — to znaczy, że należę do narodu polskiego na całym jego obszarze i przez cały czas jego istnienia, zarówno dziś, jak w wiekach ubiegłych i w przyszłości, to znaczy, że czuję swą ścisłą łączność z całą Polską; z dzisiejszą, która bądź cierpi prześladowanie, bądź cieszy się strzępami swobód narodowych, bądź pracuje i walczy, bądź gnuśnieje w bezczynności, bądź w ciemnocie swej nie ma nawet poczucia narodowego istnienia, z przeszłą — z tą, która przed tysiącleciem dźwigała się dopiero, i z tą, która w połowie przebytej drogi dziejowej rozpoście-

[1]) Rozprawę niniejszą autor zamieścił w t. I „Książki Pamiątkowej na 75-lecie „Gazety Rolniczej" Lwów 1938.

wała się szeroko, groziła sąsiadom swą potęgą i kroczyła szybko po drodze cywilizacyjnego postępu, i z tą, która później staczała się ku upadkowi, grzęzła w cywilizacyjnym zastoju, gotując sobie rozkład sił narodowych i zagładę państwa, i z tą, która później walczyła bezskutecznie o wolność i niezawisły byt państwowy; z przyszłą wreszcie, bez względu na to czy zmarnuje ona pracę poprzednich pokoleń, czy wywalczy sobie własne państwo, czy zdobędzie stanowisko w pierwszym szeregu narodów".

Słowa te pisał Dmowski przed laty dwudziestu dziewięciu w „Myślach nowoczesnego Polaka". Czy się one zestarzały? Nie, one są równie młode, jak słowa Mickiewicza o „człowieku wiecznym". I miejmy nadzieję, że kiedy nazwisko Dmowskiego przestanie figurować w naszych szkołach na indeksie nazwisk zakazanych, to młodzież nasza będzie się uczyła na pamięć tych słów — z wypisów szkolnych. Tak, bo to nawet, co Dmowski pisał o Polsce przyszłej, jest młode: chociaż bowiem odzyskaliśmy już własne państwo, nie zdobyliśmy sobie jeszcze „stanowiska w pierwszym szeregu narodów".

A zdobędziemy je sobie tylko pod tym warunkiem, jeżeli, dążąc oczywiście do naprawy popełnionych w przeszłości błędów i pracując nad naprawą naszego charakteru narodowego (o której tak śmiało mówi Dwowski), będziemy jednocześnie coraz lepiej sobie uświadamiali tę prawdę, że (raz jeszcze) fundamentem budowy przyszłości narodu jest jego przeszłość, jako całokształt pracy ducha narodowego.

„Jak w nas żyje nasz ojciec, dziad i pradziad — mówi Żeromski przez usta Czarowica — tak samo w narodzie żyje wiecznie i trwa jego przeszłość, prężą się siły, czyny, żądze i idee naddziadów, wieczyście wstające z martwych. Podobnie jak drży serce wobec grobu rodziców, drży serce wobec niezgłębionej przeszłości narodu".

Rozumie się, że z całokształtu pracy dokonanej przez naród, trzeba umieć wybierać: nie wszystko, co przeszłość wytworzyła, może i powinno być fundamentem budowy przyszłości; są przecie w dorobku naszej przeszłości umysłowej i moralnej, politycznej i społecznej takie pozycje, które się obecnie powtarzać nie powinny; do nich należą np. błędy ustroju politycznego i społecznego dawnej Polski, ale nadewszystko błędy życia porozbiorowego. Ma słuszność Wacław Sobieski, mówiąc, że „nie tyle w kazamatach epoki porozbiorowej, ile raczej śród bujnego życia czasów złotych wolnej Rzeczypospolitej szukać nam pora nawiązania teraźniejszości z przeszłością".

*

W czwartym zeszycie Marchołta, kwartalnika, który dzięki swemu założycielowi i redaktorowi, Stefanowi Kołaczkowskiemu, już odgrywa i z pewnością nadal odgrywać będzie wybitną i dobroczynną rolę w budowie kultury wskrzeszonej Polski, znajduje się w przekładzie polskim świetny odczyt Benedetta Crocego, wygłoszony w roku 1930 na międzynarodowym zjeździe filozoficznym w Oxfordzie, p. t. Antyhistoryzm.

Rozróżnia tutaj Croce dwie postacie antyhistoryzmu czyli owego braku myślenia historycznego, na którą skarżył się, w odniesieniu do społeczeństwa polskiego, Popławski. Jedna forma to ta, która, jak mówi Croce, „nienawidzi w historii tego, co w niej jest względne i przypadkowe, zmienne, różnorodne i indywidualne, a wzdycha i dąży do absolutu, stałości, jedności i pewności przez przezwyciężenie historyzmu", forma, która, mówiąc ze Słowackim,

Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże.

A druga forma antyhistoryzmu polega, przeciwnie, na „krańcowym aktywiźmie", który, „odrzucając dzieje minione, zdaje się uznawać tylko historię przyszłości, historię, która właściwie jest pędzeniem po pijanemu na złamanie karku"; zwolennicy tego aktywizmu, mówi dalej Croce, „nie uznają tych wartości, które tkwią w naszych pojęciach i istniejących instytucjach; przeszłość wydaje im się martwa, podczas gdy dla każdego, kto ma oczy ku widzeniu, jest ona wiecznie żywa i obecna".

Dobrze się stało, że Marchołt nie poskąpił miejsca tym mądrym poglądom znakomitego myśliciela włoskiego: w Polsce bowiem ludzie bardzo często więcej wierzą obcym, niż własnym powagom. Dla tych jednak, którzy literaturę polską znają, myśli Crocego nie są żadną nowością. Była wprawdzie kiedyś w naszej literaturze, jak widzieliśmy, pierwsza postać antyhistoryzmu, to znaczy był niekrytyczny kult przeszłości, były nawoływania do powrotu na jej łono; była i druga postać — zbyt surowa krytyka przeszłości narodowej, krytyka, z której wyprowadzono pesymistyczne i niekoniecznie słuszne wnioski co do przyczyn upadku Polski, — dosyć przypomnieć „szkołę historyczną krakowską"; nie brakło i lekceważenia, a nawet drwin z narodowej przeszłości (zwłaszcza ze strony Polaków nie rodowitych, tylko, jak mówiono w XVI wieku, „wmieszkanych", to jest nie Polaków), były nawoływania do wzięcia rozbratu z przeszłością. To wszystko prawda: ale i to prawda, że nie brakło naszej literaturze znakomitych pisarzów, i to już w epoce romantyzmu, a cóż dopiero pozytywizmu, którzy rozumieli i głosili ową myśl, którą Croce ujął w słowa: „Przeszłość wydaje... się martwa, podczas gdy dla każdego, kto ma oczy ku widzeniu, jest ona wiecznie żywa i obecna". Z poetów polskich najlepiej rozumiał to Mickiewicz i Asnyk, z powieściopisarzy — Sienkiewicz, z myślicieli politycznych — Popławski i Dwowski, z historyków — Lelewel i jego gorący wielbiciel Wacław Sobieski.

Do przytoczonych słów Crocego dodajmy jedno jeszcze. Żeby przeszłość narodowa była w „nowoczesnym Polaku" żywa i obecna, trzeba mieć nietylko oczy ku widzeniu, ale i rdzennie polską duszę. Do tego zaś, żeby mieć rdzennie polską duszę, trzeba mieć przedewszystkiem rdzennie polską krew. Ale tę krew trzeba — od wczesnej młodości, wychowywać w duchu narodowym. A wychowanie w duchu narodowym mogą nam dać tylko nauczyciele, którzy są rodowitymi Polakami, nie zaś „krajowymi cudzoziemcami".

Jedynie pod tym warunkiem spełnić się może — i spełni się, jak Bóg w niebie — nadzieja autora „Myśli nowoczesnego Polaka" i wszystkich prawych Polaków, że Polska „zdobędzie stanowisko w pierwszym szeregu narodów„.

IGNACY CHRZANOWSKI

NA WIDOWNI

Marzenia a rzeczywistość — Z jednej ostateczności w drugą — Sprawiedliwa ocena sytuacji — My a Czesi — Tragizm tego narodu — Wnioski.

NOWY ROK zawsze nastraja do marzeń, że będzie lepiej i, że wogóle iścić się zacznie marzona bajka. I myślimy tak, zastanawiając się nietylko nad naszemi skromnemi sprawami, ale i nad większemi, publicznemi. Łudzimy się więc i teraz, że oto z nowym rokiem przybliży się realizacja wielkiego polskiego imperium sięgającego swemi wpływami od morza do morza, że tak jak pod Grunwaldem i za Jagielonów skutecznie rozprawimy się z postępującą groźnie teutońską nawałą i naporem obcego Wschodu. W wyobraźni swojej widzimy już tę całą wielkość i wspaniały miraż świetności. Ale niestety są to tylko marzenia, bo rzeczywistość znaczą niemieckie autostrady przez Czechy, wymuszona rezygnacją Węgier z Rusi, zakusy niemieckie na Kłajpedę, podniecenie ukraińskie i wreszcie niepewna i ze wszech miar niepokojąca sytuacja w Rumunii. Lista długa i zgoła nienasuwająca wesołych myśli. Bez przesady można zaryzykować twierdzenie, że od odzyskania niepodległości i od ostatecznego uregulowania swych granic, państwo nasze nie było jeszcze nigdy w tak groźnej sytuacji, jak dziś po świeżym zaolzańskim sukcesie.

Nie trzeba jednak nigdy wpadać z jednej ostateczności w drugą i przerzucać się od świetlanego marzenia do smutnego czarnowidztwa, gdyż jedynie sprawiedliwa ocena sytuacji może coś pomóc. W istniejącej rzeczywistości trzeba zawsze starannie odczytywać wszystkie jej plusy i minusy i korygować sobie jej prawdziwym, chociażby nawet i przykrym obrazem wybujałości marzenia. Ale samo marzenie pielęgnować należy, bo wiadomo, że tylko z zamków na lodzie powstają na ziemi pałace. Toteż ciągle myślmy i piszmy o wielkiej Polsce w środkowej Europie, ale równocześnie nie łudźmy się, że jest to zadanie łatwe do osiągnięcia i znajmy dokładnie elementy naszego tworzywa.

A tymczasem o tem właśnie mamy najmniejsze pojęcie i ze świecą w ręku trzeba wprost wyłapywać ludzi, którzy coś o tem wiedzą i potrafią odpowiednio poinformować złakniony wiadomości ogół. Informacyj szalenie więc brak, a te co są nierzadko są błędne i nie doskonałe. A przecież w naszych warunkach należyta informacja i mobilizacja opinii jest pierwszą rzeczą, którą należy uczynić. Spróbujmy więc dla przykładu zająć się krajem niesłychanie dla nas ważnym, bo Czechami.

Jeśli chodzi o Czechy to opinia w ciągu ostatniego czasu dokonywała tu istnie karkołomnych ewolucyj, przechodząc raptownie od sojuszniczej wierności i zapewnień przyjaźni do najbrutalniejszych i najzacieklejszych inwektyw. Nieliczne tylko pisma zdołały zachować, jaki taki umiar. W każdym razie dzisiaj tak się złożyło, że w prasie naszej słusznego sądu o Czechach nie ma. Jedne pisma nie mogą się wyzbyć powersalskiego czechofilstwa i uparcie łudzą i siebie i drugich, — inne uprawiają przykro wprost już oszczerczą i nielitościwą propagandę, depcząc nie po rycersku i nie po polsku pokonanego i leżącego.

Ale to są już sprawy raczej moralnej natury, jeśli zaś chodzi o politykę, to jednemu z tych stanowisk towarzyszy ciągła wiara w nawrócenie się Czechów na naszą polityczną wiarę i przekonanie, że razem z nami będą oni kiedyć walczyć przeciwko zalewowi niemieckiemu w myśl ideologii husytów i Żiżki; — drugiemu zaś stawianie na nich zdecydowanego „krzyżyka”, podkreślanie ich dzisiejszego niemieckiego wasalstwa i szukanie innych punktów dla aktywizmu naszej polityki. Tymczasem oba te stanowiska są niesłuszne i dopiero połączenie ich w jedno dałoby należytą syntezę.

Między nami a Czechami jest bowiem głęboki i niezniszczalny związek życiowy, łączący mocno oba nasze narody bez względu na ich wzajemne sympatie i antypatie i różne doraźne koniunktury. Chodzi tylko o to, by zdawać sobie sprawę z natury tego związku, polegającego poprostu na tem, że Polska broni narodu czeskiego samą swoją potęgą i rozkwitem, bez których Czech niepodległych wogóle nie ma, a Czechy samem swojem istnieniem, samem poprostu trwaniem słowiańskiej wyspy w pośrodku niemieckiego oceanu oddają nam nieocenioną przysługę. To też polska myśl polityczna, uznając w całości ich nieprzydatność, jako sojusznika i nie zamykając oczu na żadne ich felonię i zdrady nie może nigdy na nich stawiać „krzyżyka” i w dobrze zrozumianym własnym interesie musi w miarę swoich możności umacniać ich byt i paraliżować wszelkie postępy niemczyzny.

Stwierdzając tę wielką prawdę, warto dla jej ilustracji przypomnieć sobie to, co o Czechach mówił w swoich paryskich wykładach taki geniusz, jak Mickiewicz. Od tego czasu upłynęło bezmała już sto lat, ale gorzka prawda pozostała beznadziejnie żywa. Bo rzeczywiście Czesi są tragicznym narodem, nierozumiejącym swojej misji dziejowej i ciągle walczącym o swą treść duchową i swe prawdziwe odrodzenie.

Nakazy odnoszące się do jednostek mają swój całkowity walor i w życiu narodu. Potwierdza się w ten sposób nieśmiertelną prawdę o jedności etyk. Idąc więc za przypowieścią ewangeliczną Polska obrała lepszą cząstkę Marii, podczas gdy Czechy niczym Marta krzątały się wiele. Zgubiła też je ta doczesność wszelkich dążeń i poczynań. To lekceważenie ducha, jak mówi Mickiewicz. Zapomniały, że zawsze i wszędzie trzeba najprzód szukać królestwa Bożego.

Stały się więc tragicznym narodem, wyrzekającym się swej misji historycznej i poświęcającym ją za marną miskę soczewicy. Już święty Wacław został zamordowany i nie zdołał pociągnąć za sobą narodu. Nie rozkwitły też Czechy kwiatami świętych i ogniami wiary, a dynastia która zbyt ziemsko pojęła swe zadania,. nie wydała takich postaci, jak Mieszko, Bolesław Chrobry, czy Kazimierz Wielki wśród Piastów, a święty Stefan, święty Władysław i Bela IV wśród Arpadów. Święty Wojciech, który przejrzał zadania swego narodu i genialnie je chciał realizowsć pójść musiał na wygnanie i stał się naszym, a nie czeskim patronem. Gdy zaś później w wojnach husyckich rozbłysło światło narodowości i idea-

łu, to znowuż poszło ono błędną drogą i znowu, król, który patrzał bardzo daleko i chciał drogi narodowe wyprostować, wielki Jerzy Podiebradzki został w decydującej chwili osamotniony. W dziewiętnastem stuleciu dźwignął się naród i przebudził, ale znowu materia go uwięziła i przyprawiła w końcu o tragiczną ruinę państwa. Humanitaryzm Masaryka niewątpliwie był systemem głębokim i wzniosłym, ale dla szerokiego ogółu mógł się tłomaczyć wyłącznie, jako religia doczesności i dobrobytu.

Ale dopóki wiemy, że są w Czechach ośrodki myślące inaczej, nie przestaniemy wierzyć w ich siłę żywotną i ich prawdziwe odrodzenie. Krew męczenników nigdy nie płynie na próżno i nawet po latach ożywia. Nie możemy więc zapominać o tem, że Czesi to naród świętych Wacława i Wojciecha. Zawsze też będziemy w nich widzieli braci i przyjaciół, chociażby narazie... zdradliwych i nieszczerych.

Ale wracając do rzeczy bardziej dzisiejszych, ustalmy sobie trzy zasady naszych stosunków z Czechami ściśle odpowiadające rzeczywistości. A więc. —

1) Istnienie Czech jest nam nieodzownie potrzebne, bo nie możemy dopuścić do rozpanoszenia się niemczyzny. To też, czy Czesi chcą, czy nie chcą, zawsze przeciwko Niemcom będziemy im swoją pomoc dawali i na dłuższą historyczną metę nigdy nie pogodzimy się z utratą Sudetów przez Czechy. Czujemy się na tyle silni by w stosunku do Niemiec reprezentować interesy całej bez wyjątku Słowiańszczyzny.

2) Z uwagi na słabość, trudną geograficznie pozycję i daleko posunięte a wszechstronne uzależnienie Czech od Niemiec wiemy, że one walki, zwłaszcza w sensie dosłownym z naporem niemieckim, w każdym razie dzisiaj, nie są w stanie prowadzić i, że jedyny dla nich ratunek, a zarazem jedyna droga do ich rzeczywistego wzmocnienia, to możliwie największa moc ich niemieckich i antyniemiecko nastawionych słowiańskich sąsiadów, a więc nasza i mimo wszystko Węgier.

3) Że jest rzeczywistością historyczną i geograficzną istnienie z jednej strony narodu czeskiego w czworoboku gór otaczających dorzecza Łaby i Morawy, a z drugiej szczepu słowackiego w dorzeczu Dunaju na południe od Karpat, jako dwóch zupełnie odrębnych od siebie całości, nie tworzących ani jednolitego narodu czechosłowackiego, ani nawet już dzisiaj jednolitego państwa Czechosłowackiego i, że powyższy związek przeczący rzeczywistości przeczy też i naszym realnym interesom, wydając Słowaczyznę razem z Czechami na łup ekspansji niemieckiej, co okrąża nas od południa a samych Czech bynajmniej nie wzmacnia, lecz przeciwnie raczej osłabia, zagrażając nam i wprowadzając ferment w dolinie Dunaju i w wobec tego powinien z mapy Europy jaknajprędzej zniknąć.

Bo podkreślamy: przyjazne uczucia mamy tylko dla rzeczywistego narodu czeskiego i dla Słowaków a nie dla zgubnej masońskiej fikcji czechosłowackiej.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

MARANI

OTÓŻ i pewne zjawiska zaczynają się powtarzać...

We Lwowie około 7000 żydów przechodzi na chrześcijanizm. W Stanisławowie zorganizowano specjalne kursa dla katachumenów. Jednem słowem panika w *ghetcie* szerzy się, no i co za tem idzie masowe, pozorne przyjęcia Chrztu Świętego, na co zresztą Talmud, pozwala, pod tym atoli warunkiem, że ochrzczony nadal pozostanie wiernym wyznawcą Jehowy, że będzie święcił sobotę, że się nie wyrzeknie przynależności do „narodu wybranego".

No i przyjmują katolicyzm, przydziewają sukienki duchowe, mało — nie unikają nawet Sakr biskupich, a pokryjomu wyznają Jehowę, święcą sobotę, prowadzą politykę „narodu wybranego". Tak było w Hiszpanii, gdy się tam wzięto przed wiekami do oczyszczenia państwa z przybyszów, „niepożądanych cudzoziemców" jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli. Drogo Hiszpania po wielu latach zapłaciła za błąd uwierzenia intencjom żydowskim, gdy wyznawcy Talmudu zmieniali wiarę przodków i krzyże poczęli nosić na piersiach. Trzeci rok już toczy się krwawa wojna domowa...

7000 neofitów we Lwowie, to próba zakorzenienia się w Polsce, asekuracja na wypadek konieczności emigracji. To nie tylko w przyszłości groźba pozostania tej liczby żydów wśród nas, ale — co gorsza — wielkie niebezpieczeństwo zanieczyszczenia naszej krwi, nowa odmiana realizacji polityki judejskiej.

Jaknajprędzej wydać ustawy ograniczające zmianę wyznania! Chrzest jest sakramentem a nie polisą ubezpieczeniową. I niechaj wszyscy neofici raz to sobie zapamiętają, że przyjdzie czas i to niedaleki, kiedy to jako żydzi wyznań chrześcijańskich będą musieli odejść razem z żydami wyznania mojżeszowego. A Polacy, katolicy z dziada pradziada niechaj nie ważą się wchodzić w związki małżeńskie z rodzinnymi maranami. Przestrzegamy!

Omawialiśmy niedawno kłócące się z sobą projekty, posła Stocha i Ozonu. Kłócące się, mimo, iż jeden cel mają w zasadzie. Szczerość intencji, kłóci się tu z posunięciem taktycznym. Tysiące neofitów mówi nam mimowoli i oczywiście, że najpierw muszą być wydane ustawy ograniczające prawa żydów, potem dopiero rozpocząć się winien proces emigracyjny.

Trzeba to zrozumieć, bo grozi nam wielkie niebezpieczeństwo. Poprostu widmo klęski.

Pierwszych maranów, typowych maranów odkryto już na nowych listach adwokackich rozesłanych ostatnio przez Warszawską Izbę. Nowością list tych jest rubryka „wyznania". Oto o czem donosi prasa: „Rubryka wyznania stała się przyczyną sensacji. Okazało się bowiem np., że z n a n y a d w o k a t, d z i a ł a c z s y j o n i s t y c z n y, j e s t k a t o l i k i e m, d r u g i a d w o k a t, s t a ł y b y w a l e c s y n a g o g i n a T ł o m a c k i e m, t e ż j e s t k a t o l i k i e m".[1]

Zacznijmy rozumieć! Takie przecież przeraźliwie jasne...

O CIĄGŁOŚĆ HISTORII

Kilka miesięcy temu obiegła prasę wiadomość, iż jeden z obywateli jednego z miast w województwie poznańskiem czy pomorskiem odmówił miastu zapłacenia podatku, opierając się na zasadzie starego przywileju, który zwalniał każdorazowego króla kurkowego od płacenia podatku. Postawa owego obywatela stała się przedmiotem kpin i żartów. A tymczasem to nie powód do kpin. Wcale. I oto wówczas, gdy sobie żarty strojono na temat owego przywileju, zabrał głos znany publicysta, inicjator usypania kopca ku czci Pyrza w Nowosielcach, Opioła, by we wzruszającym felietonie opowiedzieć, jak to do Izby Skarbowej zgłosił się pewien chłop z pod Płocka, żądając zapłaty za owies i siano na podstawie kwitu, który jego pradziadowi wydał oddział naszych wojsk czasu wojny polsko-rosyjskiej roku 1831-go. Kwit ten przechowywany był za szkłem świętego obrazu.

Ostatnio znowu dowiedzieliśmy się, że Sąd Okręgowy w Chojnicach na Pomorzu przyznał wsi Śliwice 34.000 złotych zasądzonych od Skarbu Państwa. Pretensje te wieś opierała na przywileju, nadanym jej przez Kazimierza Jagiellończyka.

Zastanówmy się przez chwilę. Jest w tym akcie respektowania starego przywileju wyraz ciągłości historycznej, skasowanie najboleśniejszego podziału, który respektujemy w nauce historii, literatury, podziału na Polskę przedrozbiorową, porozbiorową i odbudowaną. Żyjąc wciąż jeszcze wspomnieniem dnia wczorajszego, zapominamy, iż był on tylko dniem chmurnym, cząstką historii Narodu, który liczy sobie ponad lat tysiąc.

Zmienia się już, na szczęście, nasz stosunek do przeszłości. Odnajdujemy swoje miejsce w łańcuchu pokoleń. A od tego zależy jakość ogniw następnych.

SŁUŻBA TRAGICZNA

Na Śląsku Zaolziańskim akty terroru czeskiego i czeskiej, skierowanej przeciw Polsce, propagandy powtarzają się coraz częściej. Terror ów i propaganda mają doskonałą organizację, mają też wyraźne oparcie za Ostrawicą.

Jakiż jest cel tej obłędnej roboty. Po przyłączeniu Zaolzia zdawało się, iż wszelkie kwestie sporne między Polską i Czechosłowacją zostały zażegnane, a Polska na rzecz dobrych, sąsiedzkich stosunków złożyła dużą ofiarę w postaci Śpisza, Orawy i Ziemi Czadeckiej.

Komu innemu zależy na mąceniu wody w Olzie. Nie Pradze. Praga jest tylko narzędziem.

I to jest niezwykle tragiczne. Owo samobójstwo narodu słowiańskiego, zadawane sobie w historii już po raz drugi.

Czechosłowacja, jak wskazują dzieje ostatnich lat dwudziestu, zawsze musiała pozostawać u kogoś na służbie. Służyła Francji i służyła Rosji. Służyła komunizmowi i służyła masonerii. Obecnie zaś...

„Nie pójdziemy Niemcom pod nogi..." mówiła pieśń patriotów czeskich śpiewana przed rokiem 1918.

A jednak... poszli.

WALKA ZAOSTRZA SIĘ

Wybory samorządowe ujawniły i zadokumentowały szerokiej publiczności to, o czem wiedzieli ludzie, orientujący się w nastrojach i dążeniach społeczeństwa.

Ewolucja polityczna Polski prowadzi nas coraz wyraźniej do wojny z żydami. To jest dziś— i będzie, aż do usunięcia poza granice państwa przynajmniej większości żydów — główna w Polsce linia podziału. Od czasu zdobycia niepodległości wzrasta polski ruch narodowy, który mobilizuje i prowadzi ludność rdzenną do zniszczenia żydów, jako największej obecnie przeszkody na drodze naszego rozwoju.

Akcję zorganizowaną przeciwko żydom prowadzi Obóz Narodowy; główną jednakże podstawę tej akcji stanowi żywiołowe parcie mas narodu do poprawy gospodarczo-społecznych warunków swego bytu, taka sama dążność t. zw. inteligencji, oraz dążenie warstwy najbardziej wykształconej do wytworzenia zdrowszych, niż obecne, warunków twórczości kulturalnej.

Te czynniki, obok wartości osobistej wielu działaczów Stronnictwa Narodowego, pchają naprzód aktywność tego stronnictwa. Krzywa, że tak powiemy, jego rozwoju, jakkolwiek idzie linią nieregularną (przewroty, zamachy, dywersje, terror), to jednak zmierza wciąż w górę ku coraz poważniejszym wielkościom.

Obecnie wchodzimy w okres dominującej ponad wszystkiemi zagadnieniami polityki wewnętrznej, wojny narodu polskiego z narodem żydowskim. Jednocześnie rośnie solidarność polska, poczucie wspólnego, narodowego interesu. Pogłębia się i rozszerza podział ludności na Polaków i żydów. Próby zorganizowania działalności politycznej na innej płaszczyźnie, niż narodowa, dziś już dają coraz słabsze rezultaty. Zrozumiało to wielu przywódców t. zw. obozu sanacyjnego i zaczęło zmieniać gruntownie nomenklaturę i frazeologię partyjną. Pod hasłami „państwowemi", pod zawołaniem do walki z „wszelkiemi nacjonalizmami" nie można już dzisiaj zaprzęgać sił społecznych do pomocy odministracji, nie można rządzić państwem.

Nie dostosowało się do nowej rzeczywistości Stronnictwo Pracy wraz z żywiołami pokrewnemi. Niema u nas dziś miejsca na centrum; wypadłoby chyba pośredniczyć między obozem żydów i ich sojuszników, a ruchem narodowym.

Ale społeczeństwo polskie czuje raczej potrzebę wznowienia obozu zdecydowanego i — walczącego. Tak samo rozumieją... żydzi. Podobnie myślą ludzie z t. zw. „chrześcijańskich" związków klasowych. Masy w Krakowie, Bydgoszczy, Poznaniu poparły, silniej niż przed kilku laty, obozy polityczne radykalne w sensie zdecydowania i bojowości.

W Warszawie i wszędzie tam, gdzie się front narodowy rozbija celem uniknięcia... „hiszpanizacji", t. j. wojny domowej, gdzie pojawiają się dywersyjne działania i grupy o tendencji pośredniczącej, kompromisowej, „zjednoczeniowej", masy ludności obojętnieją dla spraw politycznych. To jest główna przyczyna niskiej frekwencji polskiej w wyborach do Rady Miejskiej w Warszawie. Procent głosujących żydów był znacznie większy. Oni bowiem wiedzieli, że głosując, wzmacniają najlep-

sze narzędzia walki o swój narodowy interes: Bund i P. P. S.

Niech zastanowią się nad tem panowie pacyfiści, którzy widocznie myślą, że najlepszym sposobem uniknięcia wojny jest demobilizacja własnej armii. Życie pokazało wartość utopij „zjednoczeniowych" różnych dobrze sytuowanych osobiście glossatorów i kibiców tej walki dziejowej, jaką naród prowadzi z żydami.

Ten sam błąd nieopatrznej postawy mediatorstwa i pokojowości za wszelką cenę — popełnił biskup Barcelony, nakazując (w kwietniu r. 1931) uroczyste publiczne nabożeństwa z okazji objęcia władzy przez rząd „demokratyczny". W kilka dni potem napadnięto na siedzibę arcybiskupa w Sewilli; czujący swą bezkarność motłoch zniszczył urządzenia jedynego katolickiego dziennika „*El Debate*".

Nieszczęsna Hiszpania może nas istotnie niejednego nauczyć. Nie wystarczy powtarzać w kółko, że „nas nie stać na rewolucję". Slogan jest po pierwsze nie aktualny, bo nikt w tej chwili nie mówi poważnie o rewolucji w sensie krwawych zaburzeń, a po drugie — samobójczy, bo prowadzi do upadku ducha. Człowiek, któryby głosił, że Polskę nie stać na prowadzenie wojny z jakimś wrogiem zagranicznym, powinien dostać kulą w łeb. Czy nie rozumiecie, czem nam grożą żydzi, oddający swe głosy na P. P. S. i na „Bund"? Może wyślemy do „Bundu" delegację naszych zjednoczonych pacyfistów z perswazją, że przecież nas nie stać na rewolucję?

Wybory samorządowe, mniejsza o pomyślne horoskopy jakie naogół można by z nich snuć dla Stronnictwa Narodowego, wykazały jedną kardynalną rzecz. Ludność polska chce usunięcia żydów z państwa. Ludność polska popiera tych, którzy się walki z żydami boją, którzy ją w życiu społecznem ofiarnie i skutecznie organizują.

Olbrzymia większość polskiego społeczeństwa poprze zmianę konstytucji w sensie umożliwiającym ustawowy nacisk na żydów, ażeby sobie zorganizowali emigrację z Polski. Nie widzimy uczciwego powodu, dla którego mielibyśmy z tem zwlekać.

TADEUSZ DWORAK

Z OBCEGO ŚWIATA

SZEROKIE HORYZONTY HISZPANII

OFENSYWA nacjonalistów skierowana jest na Barcelonę, a rozwija się pomyślnie — czerwoni skazani są na zagładę. Zagłada ich, dokonana w sposób iście hiszpański, przez wyplenienie zupełne, zlikwiduje ostatecznie jeden z najbardziej niebezpiecznych ośrodków komunizmu w świecie. Nowa klęska Moskwy.

Generał Franco już dzisiaj myśli o ustroju przyszłej Hiszpanii. Będzie to Hiszpania budowana na historycznej strukturze z tronem na piewszem miejscu, z całem respektowaniem tradycji, a jednocześnie będzie to Hiszpania reform socjalnych, postępu technicznego. Synteza, która daje znakomite wyniki, jak wskazuje chociażby doświadczenie włoskiego faszyzmu.

Malraux w swej ostatniej książce na temat Hiszpanii (tłomaczy się ją właśnie na język polski) mówi, że chleb i mieszkanie dają obecnie faszyści, komunizm natomiast walczy o wolność. Jest w tym poglądzie wiele rezygnacji, przyznania się do niemocy twórczej. Jest też obraz walki o majak doktryny. Doktryny nieszczerej zresztą, która mówi „wolność", a dokonywa masowych egzekucji.

Generał Franco zdaje sobie sprawę, że potrzeby materialne nie wyczerpią programu Wielkiej Hiszpanii, że potrzebne są drogi ekspansji. Nie chce stać się kolonią włoskiego faszyzmu, czy niemieckiego narodowego socjalizmu. To też w ostatnim swoim wywiadzie prasowym ukazał szeroki horyzont: nawiązanie stosunków z południową, łacińską Ameryką. Stworzenie polityki hiszpańsko-amerykańskiej.

Oto plan na wielką, dziejową skalę. Nawrót do starych dzierżaw, które zostały wydarte macierzy przez najazd zasad liberalnych wieku XIX-go. Hiszpania dokonała kiedyś podboju pełnego Ameryki. Narzuciła jej nie tylko swe władztwo lecz i cywilizację. Czas odwrócił miecz i skierował go przeciw Madrytowi. Nie z mieczem zwraca się w odzew generał Franco, ale z imieniem Hiszpanii.

Jeśli dyktator potrafi rzeczywiście realizować swe słowa, będzie to zamierzenie na skalę dziejową.

I kto wie, czy nie w obawie możliwości realizacji planów hiszpańskich Stany Zjednoczone powzięły plan zespolenia wszystkich republik obydwóch Ameryk w jedną całość „przeciw agresji". Czyjej agresji? Czy Waszyngton czuje się zagrożony w swej pozycji dającej mu hegemonię?

Rozszerza się skala duchowa Hiszpanii, tak bardzo malejąca w czasach ostatnich.

Lepsza zachłanna tęsknota conquistadorów, aniżeli „ideał" pełnego brzucha.

NAUKA I LITERATURA

NAPOLEON I JEGO MARSZAŁKOWIE

WIELKA i mała historia nie przestaje zajmować się epopeą napoleońską, jej reprezentatywnemi jednostkami oraz sprawami.

Literatura napoleońska wzbogaca się, rok rocznie, sławnemi dziełami, które znajdują zawsze i wszędzie, chętnych czytelników wśród szerszej publiczności.

Ubiegłe pokolenia rozczytywały się w wielotomowej „Historii Konsulatu i Cesarstwa" Thiers'a; dzisiejsze będą miały, nie mniej obszerne tychże dziejów opracowanie, czem od kilkunastu lat zajęty jest wybitny historyk francuski, L. Madelin.

A ileż to ryz zadrukowanego papieru zużyto na dzieje licznych miłości oraz miłostek Napoleona! To wszystko jednak nie wystarcza, gdyż oto, na tegoroczną „gwiazdkę", dostali czytelnicy książkę Aubry'ego, poświęconą amorom wielkiego cesarza.

Polscy natomiast czytelnicy niech się zadowolą tymczasem także „gwiazdkową" poniekąd książką A. G. Macdonella p. t.: „Napoleon i jego marszałkowie", świeżo wydaną w „Bibliotece wiedzy" ks. Trzaski, Ewerta i Michalskiego, (Z 28 portretami, przełożył Dr. Feliks Rutkowski. Str. 282).

W książce swej na tle wojen napoleońskich, ukazuje nam autor dwudziestusześciu marszałków Napoleona, przytem charakteryzuje każdego z nich, jako człowieka i jako wodza, wyszczególnia zasługi, podkreśla błędy popełnione oraz przewinienia i zdrady względem tego, który ich wyniósł na szczyty kariery i obdarzył licznemi zaszczytami.

To prawda, że bez współdziałania swoich marszałków, zwłaszcza najzdolniejszych i najdzielniejszych, Cesarz nie mógłby zostać tem czem był, — ale niemniej prawdą jest i to, że chyba nikt z wielkich władców i wodzów nie miał tyle i takich (ciężkich) kłopotów ze swoimi podkomendnymi, co on.

Z małemi wyjątkami (jak Davoust i paru mniej sławnych), wszyscy z początku spiskowali i intrygowali przeciwko Napoleonowi, nieraz nie wykonywali jego rozkazów w momentach, gdy od ich ścisłego wykonania zależało zwycięstwo, w końcu wprost zdradzali, gdy los był mu przeciwny, albo umywali ręce od wszystkiego i przyglądali się katastrofie. A przytem żarli się między sobą i nienawidzili, zazdrościli sobie powodzeń i łupów, i, jak Ney np., nie lubili dzielić sławy z nikim. Napoleon postępował z nimi prawdziwie po ojcowsku: łagodził spory i zatargi, uwzględniał ambicje i próżnostki, obdarzał i wynagradzał, — rzadko jednak odpłacano mu wdzięcznością, a często główną winę zwalano na niego.

„Źle się zachowałeś w stosunku do mnie", powiada bez goryczy Cesarz, w drodze na Elbę, do marszałka Augereau (nie przyszedł mu z pomocą, gdy to było ostatnią szansą zwycięstwa), a ten mu na to, jakby do dawnego generała Bonaparte: „Wszystkiemu winna twoja nienasycona ambicja, etc."

Marmont, przyjaciel od najmłodszych lat, ten, którego Napoleon nazywał swoim „synem, dzieckiem, dziełem" — zdradził go w końcu jaknajhaniebniej. Jeden marszałek Davoust pozostał mu wierny przez całe życie i niczem względem niego nie zawinił.

Autor w dziele swojem zużył sporo materiału pamiętnikarskiego, anegdotycznego, co zresztą bardzo ożywia opowiadanie. W charakterystyce osób ujawnia nie małą przenikliwość psychologiczną, umie skupiać wybitniejsze rysy jednostek ludzkich i z talentem maluje ich portrety. Rzecz ta czyta się z prawdziwą przyjemnością.

W. J.

O LICE ZIEMI

UKAZAŁ się pięknie wydany tom p. t. „O lice ziemi". Wybór pism Jana Gwalberta Pawlikowskiego, wydany staraniem Państwowej Rady Ochrony Przyrody. (Warsz. 1938. Skł. gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. 400 i portret autora). Żeby dać ogólne pojęcie o tem kapitalnem wydawnictwie, zanim się o niem szerzej napisze, przytoczymy przedmowę, podpisaną przez profesorów Adama Wodziczkę i Władysława Szafera.

Oto ich słowa:

„W wykonaniu uchwał Zjazdów XVII (1934) i XVIII (1937) Państwowej Rady Ochrony Przyrody ukazuje się niniejszy wybór pism Jana Gwalberta Pawlikowskiego, poświęconych sprawom ochrony przyrody i swojszczyzny. Niektóre z tych pism były już dawno wyczerpane i trudno dostępne, a posiadają one znaczenie podstawowe, tak w historii naszego ruchu ochrony przyrody, jak niemniej dla jego przyszłości. Książka ma więc za zadanie spopularyzować poglądy J. G. Pawlikowskiego i równocześnie być hołdem ze strony Państwowej Rady Ochrony Przyrody dla Niego, jako dla Duchowego Ojca ruchu ochrony przyrody w Polsce.

Pawlikowski był przed ćwierćwieczem założycielem pierwszej na ziemiach polskich organizacji społecznej, poświęconej ochronie przyrody (Sekcji Ochrony Tatr Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego), twórcą idei Parku Narodowego Tatrzańskiego, wiceprezesem i jednym z najczynniejszych członków Państwowej Rady Ochrony Przyrody od pierwszej chwili jej powstania, któremu instytucja ta zawdzięcza lwią część swego dorobku. Toteż wyboru pism dokonano pod tym kątem widzenia, aby objąć nim wszystkie najważniejsze strony literackiej działalności Pawlikowskiego z dziedziny myśli i walki „o lice ziemi".

Dział I jest drugiem wydaniem dawno wyczerpanej klasycznej rozprawy „Kultura a natura" (1913), będącej jedynym w literaturze naszej zasadniczym traktatem o stosunku współczesnego człowieka do wolnej przyrody.

Artykuły pomieszczone w dziale II są przedrukowane z przeważnie wyczerpanych pierwszych zeszytów „Ochrony Przyrody" i poruszają główne zagadnienia ruchu ochrony przyrody, jego cele i środki, organizację społeczną i ustawodawstwo państwowe. W nich zawarta jest nasza polska ideologia ruchu ochrony przyrody, której wynikiem była praktyczna działalność Państwowej Rady Ochrony Przyrody.

W dziale III pomieszczone są artykuły o ochronie przyrody górskiej, a tatrzańskiej w szczególności. Zawiera on artykuły zasadnicze, stwarzając zręby nowej ideologii taternickiej, a także drobniejsze niezrównane polemiki o zachowanie Tatr, największego skarbu naszej przyrody.

Dział IV, ostatni, obejmuje pisma odnoszące się do tak ważnego zagadnienia ochrony swojszczyzny, jakiem jest zachowanie i rozwój, z przyrodą Podhala organicznie zespolonego, rodzimego stylu zakopiańskiego.

* * *

Książka ukazuje się w momencie krytycznym dla ruchu ochrony przyrody w Polsce, gdy na znak protestu przeciw inwestycjom zwolenników turystyki „ułatwionej" w Tatrach ustąpił cały Wydział Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Jest ona przeto jakby zamknięciem okresu dotychczasowej, prawie 20-letniej działalności tej instytucji, związanej nierozłącznie z postacią Jana Gwalberta Pawlikowskiego. Wierzymy, że dalsza działalność nowej Państwowej Rady Ochrony Przyrody nawiąże do zawartych w tej książce zasad i ideałów, że głoszone w niej poglądy stanowić będą nadal jakby katechizm polskiego ruchu ochrony przyrody, oraz że przyczynią się do odrodzenia kultury narodowej w oparciu o rodzime pierwiastki, tkwiące w polskiej przyrodzie i w polskiej duszy.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nagrodę państwową za r. 1938 przyznano znakomitemu pisarzowi Arturowi Górskiemu. W dotychczasowych dziejach tej instytucji nagród państwowych jest to wydarzenie jedno z najsympatyczniejszych, bo pozbawione charakteru nagrody politycznej. Powinien być wysunięty już oddawna na czoło ocenionych przez państwo pisarzy jako mistrz słowa i jako przewodnik po rozległych krainach filozofii i sztuki. W literaturze polskiej Górski zajmuje od kilkudziesięciu lat zaszczytne miejsce jako rzecznik szczytnego idealizmu i wreszcie trwałych wartości romantyzmu polskiego. Należała mu się ta nagroda jako poecie, dramaturgowi, autorowi „Monsalwatu" i rozprawy o Emersonie, a wreszcie kierownikowi Instytutu literackiego.

ZE ŚWIATA MUZYKI

ŻAŁOBA W FILHARMONII

(PAMIĘCI ROMANA CHOJNACKIEGO)

WPRZEDDZIEŃ Świąt Bożego Narodzenia zauważyłem czarną chorągiew, powiewającą na gmachu Filharmonii Warszawskiej i notatkę w prasie o odwołaniu przypadającego na ten dzień koncertu symfonicznego. Nasza czołowa instytucja koncertowa, służąca umuzykalnieniu stolicy od lat 38, okryła się żałobą: umarł jej zasłużony kierownik artystyczny, prof. Roman Chojnacki, człowiek wielkiej wiedzy i kultury muzycznej, a jednocześnie rzadko w świecie artystycznym spotykanej skromności. Tak, jak

na marmurowych tablicach w przedsionku gmachu Filharmonii uwiecznione są nazwiska fundatorów tego gmachu, podobnie dwudziestoletnia bez mała praca ś. p. Romana Chojnackiego zapisaną zostanie po stronie wybitnych zasług tej instytucji. Uważam więc chwilę obecną za najbardziej stosowną do przyjrzenia się — bodaj syntetycznie — okresowi dwudziestolecia Rzeczypospolitej na odcinku muzycznym i na terenie Filharmonii Warszawskiej. Los zrządził, że śp. R. Chojnacki rozpoczął swoją działalność w charakterze kierownika artystycznego jesienią roku 1918, obejmując jednocześnie dzierżawę gmachu. Był to okres trudny, zwłaszcza, że ustąpili kapelmistrze tej miary, co Emil Młynarski, przeciążony pracą w Operze i Konserwatorium, a wkrótce potem Zdzisław Birnbaum, którego przy pulpicie dyrygenta nie łatwo było zastąpić. Dzięki energii i inicjatywie Chojnackiego powstaje Towarzystwo Przyjaciół Muzyki Symfonicznej, na czele którego stali dyr. Henryk Melcer, A. Jaroszewicz. W tej formie pracuje Filharmonia przez cztery kolejne sezony koncertowe, aż do roku 1924, kiedy organizuje się inne zrzeszenie p. n. „Stowarzyszenie Artystów orkiestry F. W.", prowadzące na własne ryzyko i, co należy tu podkreślić, bez subsydium, dalszą, nader wybitną działalność. Nadchodzi rok 1926 a wraz z nim 25-lecie istnienia Filharmonii. Ta, pamiętna dla bywalców koncertowych uroczystość stała się widomym triumfem nie tylko dzielnej orkiestry filharmonicznej, ale i jej zasłużonego kierownika artystycznego. Chojnacki jest wszędzie. Jego charakterystyczną sylwetkę zauważyć można zarówno na próbach rannych orkierstry, jak podczas koncertów; w gabinecie za estradą przesiaduje długie godziny poobiednie, załatwiając korespondencję zagraniczną bądź inne sprawy wewnętrzne.

Krótki na szczęście okres, jaki nastąpił po czasowem odejściu Chojnackiego (w r. 1931) z zajmowanego stanowiska, zaznaczył się dość ujemnie na wynikach działalności koncertowej. To też ponowny jego powrót przyjęty został przez muzyków i melomanów warszawskich z radością. Tym razem Zmarły piastuje swoje stanowisko kierownicze aż do śmierci przy najbliższem cennem współpracownictwie p. Konsula Kluczyńskiego. Warto jest przypomnieć, że przy pulpitach koncertmistrzów zasiadali w ciągu ostatnich dziesiątków lat muzycy co najprzedniejsi. O ile pierwszy zespół orkiestrowy (z r. 1901) liczył około 80% instrumentalistów zagranicznych, w pośród których nie brakło artystów niemieckich, szwajcarskich, włoskich a nawet — norweskich, o tyle późniejsza orkiestra filharmoniczna „polonizowała się" coraz bardziej. Konserwatorium warszawskie zasilało ją corocznie młodymi, wykwalifikowanymi skrzypkami, wiolonczelistami czy też tak zwaną w języku muzycznym „blachą". Spojrzyjmy na nazwiska kolejnych koncertmistrzów orkiestry. Byli to: Jan Buchtelc, ś. p. Adam Andrzejewski, Ludwik Holcman, Fiber, Fliederbaum, a obecnie — Jan Dworakowski; w grupie wiolonczelistów prym dzierżyli kolejno: Fr. Waszka, Daniel Czerniawski, Szebelik, Eli Kochański, Grzegorz Piatigorski (dziś znakomity, światowej sławy solista), wreszcie dyr. Kazimierz Wiłkomirski, równie utalentowany dyrygent. Ileż to dziesiątków dyrygentów polskich wiodło nasz zespół orkiestrowy na najwyższe szczyty. Wymienię tu jedynie najcelniejszych jak ś. p. Emil Młynarski, Ignacy Cielewicz, Zygmunt Noskowski, Fitelberg, Bierdiajew, wreszcie tragicznie zmarły na estradzie Juliusz Wertheim. Nazwisko Józefa Ozimińskiego zrosło się z Filharmonią nie mniej niż nazwisko zmarłego dyrektora Chojnackiego. Kto wie, czy nie jemu zawdzięczać należy poranki muzyczne, które w długim lat szeregu przyczyniły się znakomicie do umuzykalnienia najszerszych mas publiczności stołecznej, a w szczególności naszej młodzieży szkolnej i akademickiej.

Zgon ś. p. Romana Chojnackiego odczuty został głęboko w całym kraju, tak daleko, jak sięgał zasięg radiowy. O muzycznej wartości programów piątkowych zdarzało mi się wielokrotnie pisać i — czytać w prasie zagranicznej. Ten, kto obejmie po Zmarłym odpowiedzialne stanowisko kierownika artystycznego, będzie miał zadanie o tyle łatwe i wdzięczne, że zastanie usystematyzowanie programów, pierwszorzędny zespół orkiestrowy i co najważniejsze, wykształconą już muzycznie publiczność. Wszystko to jest zasługą ś. p. Romana Chojnackiego. Cześć tej zasłudze!

ASPER

ZMARLI

Ś. P. KS. KARDYNAŁ KAKOWSKI

ZMARŁY w piątek dn. 30 grudnia ub. r., o godz. 9.12 wieczorem, Arcypasterz archidiecezji warszawskiej pozostawia po sobie żal wszystkich wiernych i to poczucie, że ubył nietylko dostojnik Kościoła, ale i Polak szczery, kierujący się w postępowaniu całego życia busolą narodowego instynktu.

*

Śp. Aleksander kard. Kakowski, arcybiskup, metropolita warszawski, Prymas Królestwa Polskiego, regent zmartwychwstałej Polski, doktór świętej Teologii i prawa, urodził się dn. 5 lutego 1862 r. w Dębinach, powiatu przasnyskiego w rodzinie szlacheckiej z Franciszka i Pauliny z Osowskich. Święcenia kapłańskie otrzymał dn. 30 maja 1886 r. i został mianowany wikariuszem przy parafii św. Andrzeja w Warszawie oraz obrońcą Sakramentu małżeństwa i prokuratorem w Sądzie Arcybiskupim. W r. 1887 ks. Kakowski powołany został na profesora Seminarium Duchownego w Warszawie.

Po zgonie śp. arcybiskupa Wincentego Popiela, Papież Pius X mianował w 1913 roku ks. rektora Kakowskiego arcybiskupem metropolitą warszawskim. Podczas wojny światowej za okupacji niemieckiej w r. 1917 ks. arcybiskup Kakowski został członkiem Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego.

Dn. 14 grudnia 1919 r. Ojciec święty Benedykt XV mianował ks. arcybiskupa Kakowskiego kardynałem prezbiterem tytułu św. Augustyna. Zmarły dostojnik Kościoła posiadał najwyższe odznaczenia polskie: Wielkiej Wstęgi Orderu Orła Białego i Polonia Restituta.

*

W ćwierćwiekowej swej pracy na stanowisku arcybiskupa warszawskiego, a i przedtem jako regens warszawskiego seminarium duchownego, Kardynał Kakowski znajdował się w niezmiernie trudnej sytuacji, pogodzenia obowiązków Polaka, dyktowanych przez Jego mazurskie, wierne serce, — z dobrem archidiecezji i powierzonych sobie wiernych. Cnota roztropności chrześcijańskiej była Mu wówczas przewodniczką, z drugiej strony przyświecał zawsze gorący i pewny, równo płynący patriotyzm — oraz wysokie poczucie obowiązku, każące np. w momencie wybuchu wielkie wojny wszystkiego drogami podążać do Warszawy, tam gdzie wołał ciężki obowiązek wytrwania na posterunku.

Podróż ta z zagranicy, gdzie zaskoczył wybuch, obfitowała w momenty wysoce dramatyczne. Ta strona życia Kardynała, jak i Jego działalność za regentury seminarium— winny znaleść szersze udostępnienie dla ogółu, co, jak słychać, zostanie może zrealizowane, gdyż mają się ukazać obszerne z całego życia pamiętniki tego Księcia Kościoła. Będzie to w swoim rodzaju wydarzenie, jeśli chodzi o światło na niektóre okresy powstawania naszej państwowości.

Zgon dobrego Polaka i wybitnego sługi Kościoła, Kardynała Aleksandra Kakowskiego wyryje się niestartemi zgłoskami w sercu katolicko i po polsku czującego społeczeństwa.

WSPOMNIENIE O Ś.P. BRUCHNALSKIM

Ś. P. PROFESOREM byłem oczarowany już od chwili pierwszego zetknięcia się z Nim przed laty 30, gdym przestępował progi Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Uczucie miłości i uwielbienia z latami nie słabło, ale się raczej pogłębiało. Prawdę głęboką, iż nauczyciel działa na środowisko uczniów swoich nie tylko tem, co wie i umie, ale nadewszystko tem, czem jest, stwierdzała przebogata osobowość kochanego Profesora. Gorzał w Nim płomień, promieniowało światło, umiłowanie literatury polskiej; płomieniem tym umiał rozpalić i w nas młodych wówczas w latach przedwojennych adeptach literatury nieśmiertelny ogień.

Jako człowiek i jako uczony: cichy, skromny, niesłychanie wrażliwy ale i — drażliwy. Uczony na miarę europejską, zwłaszcza w zakresie średniowiecza i renesansu, w wysnuwaniu wniosków niesłychanie ostrożny i skrupulatny. Był mistrzem w drobiazgowej analizie, w śledzeniu źródeł pomysłów i to zarówno odnośnie do najdawniejszej literatury polskiej jak i epoki romantycznej, szczególnie zaś do Mickiewicza, któremu niejedno poświęcił studium. Nie mniej jednak lubił szerokie syntezy, zawsze w oparciu o doskonałą znajomość nie tylko dziejów literatury powszechnej ale i kultury.

Mało drukiem wydawał i z tego powodu żywiliśmy do Niego żal, a nawet wyrzuty czynili. Przecież w szufladach leżały nie tylko pomysły ciekawe ale już i wyniki osiągnięte. Obszar zainteresowań badawczych rozległy. Wszak zajmowały go kwestie genezy wiersza polskiego i — porównanie Dygasińskiego z Kiplingiem. Swoim niechęciom i antypatiom żywy dawał wyraz, nie lubił n. p. ani nie rozumiał twórczości Conrada (Korzeniowskiego). I języka polskiego i stylu pism S. Askenazego nie znosił.

Sztukę edytorską, czy to się wspomni Reja, Krasickiego czy Mickiewicza, do stopnia doskonałości podniósł. I mamy tu na myśli nie tylko wydania krytyczne, ściśle naukowe, ale i popularne jak np. „Pan Tadeusz" w wydaniu Macierzy Polskiej.

Lubił szerokie rzuty porównawcze, a zjawiska literackie i językowe były dla Niego przedewszystkiem funkcją życia duchowego narodu. W literaturze najdoskonalsze widział odzwierciedlenie najistotniejszych i najbardziej rasowych cech narodu. W wykładach swoich wyczarowywał przed oczyma naszemi wizję przeszłości nie tylko środkami działającemi na umysł, ale i za serce chwytającemi. Bo Profesor ukochany był naturą nawskroś uczuciową. W pewnem znaczeniu nawet typowym był sarmatą, w stylu Wacława Potockiego. Wszak znane są jego anegdoty, facecje i kawały sypane jak z rogu obfitości. Przezierała z nich nie tylko pełnia iście renesansowego odczuwania życia, ale i tęsknota za doskonałością moralną człowieka. Gardził tem wszystkiem, co małe, płytkie, nieszczere i napuszone, sam doskonały przykład prostoty i przystępności. Duszę jego jakgdyby urobił tyle przezeń umiłowany Rej i nie mniej gorąco ukochany Mickiewicz. Zachwycał się zdrowiem moralnem arcytworu Mickiewicza, podziwiając głęboki oddech Poety i zdrowie fizyczne, czego wiersz Pana Tadeuszowy był namacalnym dowodem.

Sama Jego obecność uszlachetniająco na nas młodych, oddziaływała, a cóż dopiero, gdy zaczął się wykład, jedna rzadka przedziwność języka polskiego i polskiego serca. Wykłady też jego a zwłaszcza seminaria były dla nas prawdziwemi ucztami duchowemi. W każdego z nas, nawet w najsłabszych, wlewał wiarę w siebie i na duchu podtrzymywał. Oko miał bystre, przenikliwe, uśmiech czarujący, kobiecy. Do studentów prawdziwie ojcowskie żywił uczucia, nie skąpił nigdy rad; dlatego na zawsze nas do siebie przywiązał, zdobył nie tylko nasze umysły ale i serca gorące. Z Nim schodzi ze świata człowiek najszlachetniejszy i najuczciwszy, postać jedna z najcharakterystyczniejszych dla Lwowa, jeden z najbogatszych pomnożycieli dóbr moralnych i kulturalnych. Niezłomny w swych przekonaniach narodowych, ileż to razy w krańcowy wpadał pesymizm i gorzkie wtedy ze złotych ust padały słowa, zwłaszcza, gdy mówił, iż chyba ekspatriować się przyjdzie... Wierzył jednak w polską nieśmiertelność.

Idą za Nim nasze wspomnienia nie tylko jako o uczonym wysokiej miary, ale jako o szlachetnym człowieku i nieskazitelnym Polaku. *Non omnis morietur* — ogień zapalony u Jego dobrego serca nie zgaśnie, dalej pełnić będzie swe twórcze dzieło budowania i dźwigania z elementów kultury gmachu wielkości naszego Narodu i Państwa nawet i wtedy,

Kiedy, ziemi zleciwszy śmiertelne zwłoki,
Ogniu rówien prędkiemu, przeniknę obłoki!

(Jan Kochanowski)

J. ŚW.

ELEGIA NA ŚMIERĆ ROMANA DMOWSKIEGO

A cóż to, Panie Romanie,
Czyżby już Polska Ci zbrzydła,
Że orle rozpiąwszy skrzydła
Zerwałeś się niespodzianie
Do zaświatowego lotu,
Z którego nie ma powrotu!
Z niezbadanej woli Boskiej
Rzuciłeś nas, Panie Dmowski,
Jak nam tu będzie bez Ciebie,
A Tobie bez Polski w niebie?

Dawnej Polski wielkie duchy,
Króle, kanclerze, hetmany,
Oracze, szlachta, mieszczany,
Dodajcież jemu otuchy!
Kazimierze, Bolesławy,
Przyjmijcie go do swej sławy,
Między Piasty, Jagiellony,
Sam król, chociaż bez korony,
Z dumą szlachetną na czole
Niech zasiądzie w waszym kole!

Patrz z Kościuszką na nas z nieba,
Na Polskę od Tatr do morza:
Szumią lasy, szumią zboża,
Raduje się polska gleba,
Nasza ziemia leśna, polna,
Że już wolna, wolna, wolna!
Oto już zarosły blizny
Pociętej niegdyś Ojczyzny,
W Twej to duszy się poczęło
Zmartwychwstania wielkie dzieło,
Z myśli, miłości i czynu,
Najwierniejszy Polski Synu!

Chociaż dzwon żałobny dzwoni,
Gdzieżbyś Ty zapomniał o Niej?
Nie piłeś letejskiej wody,
Wstępując w rajskie ogrody.
Gdy Ci więc Ojczyzna droga,
Oręduj za Nią u Boga,
Sam wiesz, czego nam potrzeba,
Baczże pilnie na nas z Nieba!

A my, tutaj pozostali,
Stłumiwszy serc naszych lament,
Ślubujemy czynić dalej
Co nam każe Twój testament.

ARTUR CHOJECKI

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.